WYBOROWE DZIEŁA POLSKIÉJ LITERATURY

Z NAKŁADU

BOLESŁAWA MAURYCEGO WOLFFA

W PETERSBURGU.

Pisma ADAMA MICKIEWICZA. Wydanie zupełne w 6-ciu tomach w 8-ce, z portretem Autora, wykonanym na stali przez Henryka Dupont. Paryż. 1861. 8 rs.

Dziennik podróży do Tatrów przez autora SOBÓTKI. 1 tom w 8-ce. 75 k.

Skarbczyk POEZYI POLSKIÉJ. Tomów dwanaście w 16-cę. W oprawie ozdobnéj.

Tom I. Poezye Kazimierza Brodzińskiego.—Tom II. Lucyana Siemieńskiego Rapsody Historyczne i Liryki.—Tom III. Poezye Dominika Magnuszewskiego.—Tom IV. Poezye Wincentego Pola. Tom V. Poezye Edmunda Wasilewskiego.—Tom VI. Poezye Augusta Bielowskiego. Tom VII. Poezye Franciszka Morawskiego.—Tom VIII i IX. Poezye Józefa-Bohdana Zaleskiego.—Tom X. Legendy I. Hołowińskiego.—T. XI. Poezye Ujejskiego,.Ga-

szyńskiego i Norwida. Tom XII. Poezye Czajkowskiego i Lenartowicza. 6 rs.

Plejada POLSKA. Wydana staraniem B. M. WOLFFA. Z illustracyami J. Kossaka, F. Kostrzewskiego, M. Fredry, L. Straszyńskiego. Dzieło pierwsze w kraju tak ozdobnie wydane. Co do wyboru poezyi, znajdzie tu czytelnik najgłośniejsze imiona poetów, począwszy od K. Brodzińskiego. W wielkiéj 8-ce. Petersburg. 1857. 4 rs. 50 k.

Mickiewicz ADAM. KONRAD WALLENROD. GRAŻYNA. Z dołączeniem tłumaczeń francuzkiego i angielskiego z illustracyami K. Tysiewicza. W wielkiéj 8-ce 1851. 5 rs. 50 k.

Pol WINCENTY. PAMIĘTNIKI IMCI PANA BENEDYKTA WINNICKIEGO.

Tom I. Przygody Imci Pana Benedykta Winnickiego. Wydanie z illustracyami Kossaka. 1 tom w 8-ce. 40 k.

Tom II. Senatorska zgoda. Tradycya szlachecka. 1 tom w 16-ce, oprawny 50 k.

Tom III. Sejmik Jenerał-Województwa Ruskiego odprawiony 1766 roku w Sądowéj Wiśni. Sejmikowa tradycya. 1 tom w 16-ce oprawny. 50 k.

MARJA.


MARJA
POWIEŚĆ UKRAIŃSKA
PRZEZ
ANTONIEGO MALCZEWSKIEGO

MARJA.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA

PRZEZ

ANTONIEGO MALCZEWSKIEGO.

PETERSBURG.

NAKŁADEM I DRUKIEM B. M. WOLFFA.

1876.

Дозволено цензурою. Варшава, 10 Сентября 1875 года.

PIEŚŃ I.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym swiecie;
A ktoby chciał rozumem wszystkiego
dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to
ugodzić.

JAN KOCHANOWSKI.



I.

Ej! ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czyś zaoczył zająca, co na stepie skacze?
Czy rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody,
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swėj lubėj, co czeka śród niwy,
Nucąc żałośną dumkę lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze:
Zapał jakiś rozżarza twojėj twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczy na niėj radość;
Gdy koń, co jak ty dziki lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher wyciągnąwszy szyję.
Umykaj Czarnomorcu! z swą mażą skrzypiącą—
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrącą.
A ty czarna ptaszyno, co każdego witasz,
I krążysz, i zaglądasz, i o cóś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi—
Nim skończysz twoje koło, oni ujść gotowi.

—

II.

Pędzą — a śród promieni zniżonego słońca,
Podobni do jakiego od niebianów gońca —
I długo i daleko słychać kopyt brzmienie:
Bo na obszernych polach rozległe milczenie;
Ani wesołéj szlachty ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi smutnie uginając kłosy;
Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy,
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojéj staréj sławy.
Dzika muzyka—dziksze jeszcze do niéj słowa,
Które duch dawnéj Polski potomności chowa—
A gdy cały ich zaszczyt, krzaczek polnéj róży,
Ach! czyjeż serce, czyje, w żalu się nie nuży?

—

III.

Minął już kozak bezdnie i głębokie jary,
Gdzie się lubią ukrywać wilki i tatary:
Przyleciał do figury (co jéj wzgórek znany,
Bo pod nią już od dawna upiór pochowany),
Uchylił przed nią czapki, żegnał się trzy razy,

I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi rozkazy.
I koń rześki żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął, i wierzgnął, i daléj pośpiesza.
Ciemny Boh po granitach srébrne szarfy snuje,
A śmiały, wierny kozak myśl pana zgaduje—
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy, wierny konik kozaka rozumi—
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodiaki,
Lżéj się nie przesuwają pierzchliwe sumaki,
I jak strzała schylony na wysokiéj kuli,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli:
I przez puste bezdroża król pustyni rusza—
A step—koń—kozak—ciemność—jedna dzika
dusza.
O! któż mu tam przynajmniéj pohulać zabroni?
Zginął—w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

—

IV.

Ruszaj, ruszaj kozacze!—pośpiech nakazany;
W starym wyniosłym zamku nie małe odmiany,
Pan Wojewoda z synem od dawna w rozprawie

Długo teraz rozmawiał,—i bardzo łaskawie;
A jednak—żywe były urazy i zwady,
Zatruta serc pociecha, zniszczone układy,
I łzy czułéj rozpaczy i pychy zapału
Płynęły—często—gorzko—ale bez podziału.
Już inaczéj w tym zamku—znikły niesmak, żałość,
Jaśnieje przepych pański, nad dziadów wspaniałość:
Już śród licznego dworzan i służby orszaku,
Grona paziów, rycerzy domowego znaku,
W okazałe komnaty (długo niewidziany)
Zaszedł pan Wojewoda bogato przybrany;
A gdy każdy to szczęście usiłował głosić—
Zdawał się więcéj synem niż chlubą unosić.
W spokojnych jego rysach trudno poznać znamię
Głębokich wewnątrz uczuć; tylko dzielne ramię—
Świetna mowa, dla ludzi—imię znakomite—
Co w sobie to na zawsze dla wszystkich ukryte.
Lecz z teraz, czyz potrzeby czy w nagłém wzruszeniu,
W pieszczotach dawał ulgę długiemu cierpieniu;
I gdy w cichości z synem jakąś sprawę waży,
Widocznie uśmiech igrał na poważnéj twarzy;
A w oczach się mignęła szybka, dzika radość,
Jak kiedy długim chęciom już się staje zadość,
Jak gdy w trudzącym biegu i myśli ucisku
Spocznie kto już na chwilę—choćby na mrowisku.


Fredro

Spocznie?—och! może tylko czoło pałające
Położy, gdzie go żądeł czekają tysiące.

—

V.

Do późnéj nocy w zamku zgiełk i tentent trwały,
Do późnéj nocy trąby i wiwaty grzmiały:
Dawny wrócił obyczaj: wspaniała ochota,
Długie się stoły lśniły od srébra i złota,
I loch pański jak serce zdawał się otwarty—
A stary węgrzyn płodził nie bez duszy żarty;
I godząc huczne tony z wesołym hałasem,
Muzyka z swą melodją przebiła się czasem.
Do późnéj nocy twarze—ostre—malowane—
Przodków w długim szeregu zebranych na ścianę
Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami,
I śmiać się do pijących—i ruszać wąsami.

—

VI.

W ustach mieszka wesołość — w oczach myśl
zgadnienia —
W głębi to, w głębi serca, robak przewinienia;
A gdy jaka uciecha razem ludzi zbierze,
I pycha, i pochlebstwo, śmieją się—nie szczerze.
Może tak w dawnym zamku—bo w rznięte podwoje
Już noc zaprowadziła ciemne rządy swoje:
Już ucichli surmacze; sen szczęście osłania;
I puszczyk z wieży zaczął grobowe wołania;
A jeszcze — w boczném skrzydle obszernéj budowy,
Gdzie dzielny Wojewoda wzrok orli, surowy,
Pomarszczoną powieką w ustroniu przyciska,
Jak w jaszczur kryją kamień, którym duma
błyska —
Jeszcze stuk chodu słychać — lub ciężkie westchnienia
W przerwaném tępotaniu wracają sklepienia.
Nikt tam nie zawołany wnijść się nie poważy —
Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy —

Tam może brnąć już w rospacz, w niezwykłéj niemocy.
Depce burzliwym krokiem po ciemnościach nocy,
Jakby w jéj czarném tchnieniu chciał gdzieś znaleść rękę
Krwawéj, zgubnéj przyjaźni—lub zgasić swą mękę!
I gdy z gorących oczu sen trwożny odlata,
I gdy mu duszną była wysoka komnata,
Otworzył wązkie okno—patrzał czas niejaki
Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki,
Co się do nakazanéj zbierały wyprawy;
Słuchał budzącéj trąby i wojennéj wrzawy:
Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje,
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce w różowéj pościeli
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli.
I wznosząc świetne czoło, najpierwszém spojrzeniem
W lśniącéj stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy;

Dla nich gwar małych ptasząt, w żywéj, słodkiéj nucie,
Co z mokrych rosą dziobków wyrywa uczucie:
Nie dla niego!—on nie chciał na widoku zostać—
W niknących cieniach zamku zanurzył swą postać,
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennéj nocy—poranek rozprasza.

—

VII.

Dano znak — wrzasły trąby — szczęknęły podkowy—
Mężnego towarzysza wierny szeregowy
Jak cień nie odstępuje, i szybkim obrotem
W ciasną, gotycką bramę suną się z łoskotem.
Zagrzmiała długiém echem do sklepienia drżąca—
Aż łagodniejszą ziemię, lżéj kopyto trąca:
I ciszéj, ciszéj brzęcząc—już słabo—z daleka—
Głuchy dochodzi odgłos, i coraz ucieka.
Dopiéro to na polu—gdzie ogromne koło
Wytoczyło już słońce—bujali wesoło;
I pstrym swoim proporcem, nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła jak orły się kąpią.

Tysiące piór, kamieni, w blask, w farby się stroi;
Tysiące drobnych tęczy odbija się w zbroi;
A na ich bystrych oczach siedziało Zwycięztwo,
A na ich serc opoce kwitły Wierność, Męstwo,
A na czele tych szyków wyniosły młodzieniec.
Lecz któż on? jakiż chwały czy szczęścia rumieniec
Lniane chce cienić włosy? och! milszy sto razy,
Niż różowe porankiem natury obrazy,
I słodszy, i jaśniejszy od chwały połysku
Ten blask—co w jego serca żywi się ognisku,
Ten uśmiech — w którym może choć część zachwycenia,
Z jakiém wybrani słyszą Cherubinów pienia.
Na lotnym jechał koniu—i nad jarów brzegi
Poprowadził w porządku milczące szeregi;
Znikli w zarosłą przepaść—aż krążąc parowy,
Jeszcze raz świetne z krzaków ukazali głowy;
Jakiś na wzgórku rozkaz młodzieniec dał znakiem—
I poszli, poszli drogą za żwawym kozakiem,
Którego lekkie ślady od kopyt bez stali
Wietrzyk z rosą, jak dzieci, piaskiem przysypali.

—

VIII.

I ciche, puste pola—znikli już rycerze,
A jakby sercu brakli, żal za nimi bierze.
Włóczy się wzrok w przestrzeni: lecz gdzie tylko
zajdzie,
Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie.
Na rozciągnięte niwy słońce z kosa świeci—
Czasem kracząc i wrona i cień jéj przeleci,
Czasem w bliskich burzanach świerszcz polny
zaświérka,
I głucho—tylko jakaś w powietrzu roztérka.
To jakże? Myśl przeszłości w téj całéj krainie,
Na żaden pomnik ojców łagodnie nie spłynie,
Gdzieby tęsknych uniesień złożyć mogła brze-
mię?
Nie!—chyba lot zwinąwszy, zanurzy się w zie-
mię:
Tam znajdzie zbroje dawne, co zardzwiałe leżą,
I koście co nie wiedzieć do kogo należą;
Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym po-
piele,
Lub robactwo rozległe w świeżém jeszcze ciele;

Ale po polach błądzi nie sparłszy się na nic,
Jak rozpacz — bez przytułku — bez celu — bez
granic.

—

IX.

Pod staremi lipami Miecznik dumał stary,
I dźwigał w zwiędłéj głowie utrapień ciężary.
Chociaż ten czarny żupan, smutny przy siwiźnie,
Nosił i jasne barwy, gdy służył ojczyźnie.
Ojczyznie! któréj imię śród boju i rady,
I spornego wyboru, i hucznéj biesiady,
Czystym gorzało ogniem — a serce, jak w wiośnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!
Ale czas świetnych uczuć już zciemniał — ej!
minął,
I boli tylko życie, a kwiat jego zginął.
Dumał — i przeszłe żale, obecne zgryzoty
Pokrył kir nie przebity grożącéj sromoty,
O! póki tchu przynajmniéj, tak łatwo i marnie
Płomień zawziętéj pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błyśnie!

Lecz potém?—dumał Miecznik i wzrok wodził
hardy,
Pełen niechęci, gniewu,—a może i wzgardy.

—

X.

Przy nim młoda niewiasta—czemuż kiedy młoda
Tak zamglonym promieniem świeci jéj uroda?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty;
Czarne oczy spuszczone, i żałobne szaty,
A w twarzy smutek; czoło, co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem—uśmiech cierpliwości!
Lub jeśli kiedy nagle, w pośród gęstych cieni,
Jaka myśl czy pamiątka jéj lica zrumieni,
To tak mdłém, bladém światłem, jak gdy xiężyc
w pełni
Niezwykłém życiem rysy posągu napełni.
Piękna, szlachetna postać—do Aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona:
Ale trawiący oddech światowych uniesień
Owiał pąk młodych uczuć i zwarzył jak jesień:
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wîcher miota
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota;

Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza;
Podobna do owoców Umarłego Morza,
Pod których śliczną farbą, śród trudu, mozoły,
Podróżny widzi nektar—znajduje—popioły.
Jakaś posępna słodycz w jéj każdém ruszeniu:
Ani łzy, ani żalu, w jéj mglistém spojrzeniu;
O nie!—przeszłych już zgryzot nie widać tam wojny,
Tylko znikłéj nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jéj oczach paliła,
I zgasła—i swym dymem całą twarz zaćmiła.

—

XI.

Przy nim młoda niewiasta nad księgą żywota
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi
Szukala swego gniazda daleko od ziemi.
A że nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe zniżonéj pokory;
I drży nić którą serce do nieba związane;
To kropla słodkiéj rosy upadła w jéj ranę.
I wznosząc w górę oczy, z tym tkliwym wyrazem,—

W którego jednym rzucie wszystkie czucia razem,
Gdzie przeszłość do przyszłości po jasnem promieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrzeniu—
I wznosząc w górę oczy—doznała—jak lubo,
Rozbłąkanéj w swym żalu swego szczęścia zgubą,
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochłodła,
Tęsknić szlachetnéj duszy do swojego źródła!
Jak miło, by nie wadzić w światowym zamęcie
Zniknąć—na zawsze zniknąć pod śmierci objęcie!
A ktoby widział w tedy jéj twarz promienistą,
I smutnego Miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rosochate—starodawne stroje,
Których dla wyobraźni tak przystoją kroje,
A ktoby widział jeszcze jak jasność i wonie
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie—
Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
Nad brzegami Jordanu, pod palmy drzewiną,
Usiadłby zamyślony z hebrajską rodziną:
I w spólnictwie niedoli czując trwogę, świętą,
Poznał—tęż samą rękę, wieczną, niepojętą,
Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka;



Też same zawsze troski wygnańca—człowieka,
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś
trzeba,
I tylko wtenczas błogo — gdy westchnie do
Nieba!

—

XII.

„Ojcze! ja nazbyt długo, w miłych myśli kole
„Obłąkałam się dzisiaj—a na twojém czole
„Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
„A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
„Jak promyk co z obłoków na wyniosłe góry
„Błyśnie — i znów go skryją wiatrem gnane
chmury.
„Oh! czemuż już nie spocznie twoja głowa siwa
„Tu—na łonie? Nie bój się—teraz żal nie spływa,
„Jak wtedy coś w mych rękach usnął zmordo-
wany
„I wstał, schylonéj córki łzami zapłakany!
„Sroga nieszczęść igraszka!—i tak zżółkły pa-
rość
„Popsutym karmił sokiem swego dębu starość:

„I tak zaparte czucia długiém uciśnieniem,
„Rwąc tamę méj rozwagi, lały się strumieniem.
„Ach! jakże to boleśnie nazad się obrócić,
„Widzieć rozpacz grożącą, i nie módz się wrócić!
„Ach! jakże to okropnie w przymusie zostawać,
„Ręką co chce lekarstwo, truciznę podawać!
„Ojcze! drogi mój ojcze! czyż już żadnéj chwili
„Nigdy ci twoja córka, nigdy nie umili?
„Gorzka jéj była dola—ale to już przeszło,
„Patrz jakie słodkie światło we mnie się rozeszło;
„I uśmiech biega w twarzy niż kiedy zabawniéj,
„I twój pragnie obudzić—jak w szczęściu—jak dawniéj.
„Nieraz ja sobie wspomnę te dziecinne lata,
„Tak lube! tak ulotne! i mojego tata,
„Jak czasem zasępiony po trudach spoczywa
„Aż raptem u dziewczynki wesołość się zrywa,
„I wciska mu się w serce—powoli—nieznacznie—
„Póki się nie rozjaśni, i śmiać się nie zacznie.
„I gdzież to się podziała téj dziewczynki władza?
„Pierwéj zganiała chmury, a teraz sprowadza;
„I gdzież to żywy, czysty strumyczek upłynął?
„Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zginął;

„A nasz śliczny kanarek gdzież to się obraca?
„Chciał w ogniu piórka złocić i więcéj nie wraca.
„O! póki ten co w mòjém na zawsze był sercu,
„Nim go moim nazwałam na ślubnym kobiercu—
„O! póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
„Brzmić w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać,
„W spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą,
„Było więcéj niż szczęście, było dla mnie Niebo—
„Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia
„Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uśpienia,
„Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
„Zostawił łzę wdzięczności, któréj czas nie zmiecie:
„O! póki ten mój miły, ten świat mojéj duszy,
„Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nie skruszy,
„Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
„A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom,—
„Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko;
„Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
„Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia,

„I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
„I tę straszną ofiarę—i to rozdzielenie—
„Zniosę—cierpliwie zniosę—póki nasze cienie
„W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
„Ludzi już nie zobaczą—lecz niebo łaskawsze!“
Rzekła—i jak w stojącéj a popsutéj wodzie,
Wzruszone nagle męty osiadłe na spodzie,
Z serca jéj wyszły czucia co w łzach długo mokły,—
I zielonym odcieniem jéj bladość powlokły.
„Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
„Niż żeby mi tak marnie więdnieć miała córka;
„Wolałbym w ciemnéj turmie pewnéj czekać zguby,
„Niżli patrzéć spokojnie na te smutne śluby:
„Alboż to naszéj Polsce braknie na młodzieńcach,
„Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach:
„I tak jak dawniéj było—rycerskie kolano
„Raz w życiu tylko ugiąć—po wianek, za wiano!
„Nie, Marjo! nie trza wzdychać—twego nie obrażam,
„Mężny jest i cnotliwy—wiesz że go poważam,

„Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi,
„A kiedy łzami Marji swoje serce żywi,
„Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem
„I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem.
„Tażto u naszéj szlachty dawne przywileje:
„Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń zciemnieje.
„Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie;
„A nasze *Veto* krzyczy jeszcze i w rozejmie!
„I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy,
„Nie rzuciły mnie w ówczas Szwedowi na głowy,
„I gdyby twoja matka, (daj jéj Niebo Panie!)]
„W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie:
„A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach smakiem,
„Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem—
„Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować:
„Ani bym jego złości dozwolił grasować.
„Bo cóż to ja zastałem? Żonę zmiotła kosa—
„A córę—szczep jedyny—z łez polewa rosa;
„Dla staréj karabelli zbyt to wielkie dziwy,
„Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.

„Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
„Alboż młodością — wdziękiem — choć raz się rozczulił?
„Nie!—od domu, imienia, ze wzgardą odgania,
„I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania.
„O! co tak to najlepiéj! i mnie to rozwiąże—
„Wysunie raźna młodzież, i ja za nią zdążę,
„Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą:
„To w końcu téj tam waśni—dzwony się odezwą!“
Otarł znużone czoło, czapkę głębiéj wmiesił,
Kiwnął ręką, i głowę czarnym myślom zwiesił.

—

XIII.

Za wrotami koń grzebie, a we wsi psów wrzawa.
Skąd to kozak przypędził że taka kurzawa?
I zsiada — i na płocie cugle zarzuciwszy,
Wchodzi w duży dziedziniec, wąsa poprawiwszy.
Na ogorzałéj twarzy—ostrych chwil wspomnienie:
Prosty jego był ukłon, krótkie pozdrowienie;
Jednak różnym się zdaje od służalców grona,

Poddany—lecz swobodę z ojca powziął łona.
I gdy dumnie pojrzawszy do pana iść żąda,
Śród wiodącéj go zgrai jak władca wygląda;
Zwinne jego obroty, kroki jego leksze,
Bo swoje członki wędzi na stepowym wietrze,
A barania mu czapka, za każdém ruszeniem
Miga, gdyby chorągiew czerwonym płomieniem,
Pomiędzy chwast, zarośle,—gdzie lipy z okopu
Są i cieniem i trwogą poziomemu chłopu—
Aż przed pana Miecznika stawi się orszakiem.
A koń rży, jak za matką tęskni za kozakiem!
„Czy masz pismo?"—Jest Panie; i jeszcze list wczora
„Oddałbym nim kur zapiał, bom świsnął z wieczora.
„Ale że czart na stepie tumany wyprawiał,—
„To żeby was z jejmością Bóg od złego zbawiał."
—„Że wasze mi z listami spóźnił się—to gorzéj;
„Czyj kozak co się diabłów albo ludzi trwoży?"
„Albożwam nieświadoma krasnych czapek sława,
„Co z rodu panom wierna?—Czyj?—Grafa Wacława".
Czyta Miecznik: gdy w Marji ocknioném wejrzeniu,
Nie czcza tylko ciekawość—życie w przesileniu;
Jéj łono podniesione w lekkiéj pływa fali,

Co ją do szczęścia niesie, lub szturmem obali;
Jéj lica płomień zajął, z pod serca zapory,
Pięknym, lecz przykrym blaskiem—jak suchot kolory.
„O kozaku i koniu niech mają staranie!
„Ja wraz listy odpiszę—waszeć czekaj na nie“.
Na głośno grzmiące słowa słuch miał przytępiony;
Na śliczne, czarne oczy spojrzał rozczulony:
Skłonił nisko Ichmościom; i co bądź się zdarzy,
Kozak z służbą odchodząc—wesoło im gwarzy.

—

XIV.

„Niechaj kto ludzi zgadnie—jeśli to nie zdrada,
„To mojéj biednéj Marji radość zapowiada.
„Pisze mi Wojewoda w cukrowych wyrazach,
„Że mamy już zapomnieć o naszych urazach,
„Że żałuje za grzechy—nie tylko ogłasza
„Swój affekt dla synowéj, ale w dom zaprasza.
„Więcéj jeszcze! takiego jak mówi zamęścia
„Syn nie wart, bo zasługą trza się dobić szczęścia;
„Pragnie więc żeby wprzódy w wojennéj potrzebie
„Jakim rycerskim czynem stał się godnym ciebie!

„I gdy właśnie Tatarzy grasują w téj stronie,
„Jemu stawić się kazał w twych wdzięków obronie;
„A tak z laurem u czapki światu się pochwalić,
„Że tę co umie kochać—potrafi ocalić!
„Dziś ma tu z wojskiem ciągnąć“.— „Dziś? ja go zobaczę?
„O Boże! jaka radość! jakże serce skacze!
„Ale na cóż te bitwy? czyż z twarzy wyrazu,
„Że śmiały i szlachetny nie widać od razu?“
„Jednak to rzadko ludzi jak Pan Wojewoda,
„Sam wyznaje się winnym — lecz mnie ciebie szkoda!“
„Ojcze! ja taka blada—on mnie się przerazi,
„Może się dużo zmartwi—może się obrazi—
„Trzaby się trochę przywdziać—jakże znajdujecie?
„Jabym chciała być jemu najpiękniejszą w świecie!“
„Czekaj, czekaj—przed siecią nie złapiesz szczupaka;
„Może tu jeszcze przyjdzie zagrać nam straszaka.
„Wszakże i ja Tatarów wypłoszyć stąd żądam,
„A dla czego wżdy siedzę? bo się wzad oglądam;

„Zobaczym tych rycerzy—mnie się wszystko roi,
„Że jakieś mataczyny Wojewoda stroi“.
Ale już trąb w powietrzu rozlega się brzmienie;
Słychać zdala chrzęst zbrojnych, a ziemi jęczenie;
Już wyprzedziwszy hufce, co w wolnéj szły mierze,
Stanęli jacyś u wrót skwapliwsi rycerze.
„Wacław!“ krzyknęła Marja—i prędzéj niż strzała
Kirem okryta postać do niego leciała.

—

XV.

O! jakże szczęście ładnie, jak żywo oświéca
Młode szlachetne czoła a nadobne lica!
Jak w pogodném spojrzeniu jaśniało wspaniale,
Wdzięczne serce młodzieńca w całéj swojéj chwale!
I na tle przezroczystém pociechy rozlanéj
Słodkie sny przez nadzieję duszy kołysanéj.
Mężny—wyniosły—miły—po niszczącéj burzy,
Różowy blaskiem tęczy co mu przyszłość wróży—
Z jakąż lubą roskoszą w każdéj żyły biciu,

Ujął w spragnione ręce swój wdzięk cały w życiu!
Z jakże pyszną opieką, tkliwe, drżące łono,
Skrytéj, cichéj pieszczoty utulił obroną!
Precz złocisty luzaku—weź tego rumaka,
By nie spłoszyć miłości pierzchliwego ptaka.
A ty panie Miecznika, spocznij—moja rada;
Kręci się łza w twém oku i na wąsy spada,
To może już i w boju robi ci się ckliwo?
A Marja?—ach! i Marja czuła się szczęśliwą
Szczęściem niewiast—dla których słodkie w życiu chwile,
Są jak pogodne niebo—gdy piorun grzmi w tyle!

—

XVI.

„No panie zięciu!“ Miecznik z mokremi oczami,
Błyszcząc radością serca mówił pod lipami:
„W tym widzę dzikim świecie wiatr pociechę wodzi,
„A ledwo witać zdążysz—żegnać się przychodzi!
„Tą razą nie na długo—mężnie się postawim,
„Ja moich także zbiorę, to się nie zabawim.
„Dobrze mówią, że twarda powinność rycerza—

„Kiedy mu zwłaszcza miłość wygląda z pancerza—
„Ależ po krótkim znoju, spokojnéj swobody
„Użyć bezpieczniéj można na wesołe gody;
„Skoro dom mój uczciło takie lube goście,
„I w kielich się uderzy—i nie będziem w poście.
„Marja niech się tymczasem w krzątaniu nie leni:
„Suto stoły zastawić—nie szczędzić korzeni—
„Pieprze, bobki, imbiry, cykaty, szafrany;
„Bo to ten piękny rycerz w bakaljach chowany.
„O winie ja pomyślę—i gdy w onym stawie
„Słońce już błogi żywot zatopi jaskrawie,
„Jeśli mnie nie zawiodą moje przedsięwzięcia,
„Tatar rosę pić będzie—ja za zdrowie zięcia!
„Co teraz to was żegnam; po ciężkim frasunku,
„Milsza jeszcze pomyślność—na cnoty kierunku!
„Ja ludziom oręż rozdam, siebie téż przysłonię,
„Ale jak w trąby wrzasną—to zaraz na konie".

—

XVII.

Poszedł;—na świetném, zimném rycerza ramieniu
Sparta śliczna twarz blada, w piór łagodnym cieniu:
Czarne warkocze dźwięczą, bo w łusce pierś harda

Giętką kibić nie ciśnie, choć ściska dłoń twarda;
Stalowa odzież—w świecie i przyjaźń złośliwa;
Wdzięczne serce—to miłość na zbroi spoczywa.
O! jak z spłonionych liców, czułém, chciwém okiem
Patrzał w tę piękną postać pod smutku obłokiem!
Jakby powaby liczył! i znowu nie wierzy,
Czy mu czas w jego skarbie nie zrobił kradzieży.
Nie, ten uroczy połysk co jéj oczy krasi,
Nieznikomy—bo z duszy—chyba go śmierć zgasi.
Lecz gdy kir rycerz dostrzegł, i posępną radość,
Co przy żałobnéj szacie aż ćmi przez swą bladość,
I słodki w górę uśmiech—boleści wdzięk cały,
I na tle czystém plamy—co łzy wymaczały,
Szczęście się jego prędko owlokło jéj chmurą:
To słabszy, wietszy, bielszy—niż u czapki pióro.
„Gdym w stepowéj i w dzikszéj umysłu pustyni
„Lubił błądzić, aż pomrok przedmioty zasini,
„Nigdy mi żadna gwiazda nie błyszczała w ślady,
„A koń bił się do domu przez wicher i grady:
„Tyś dla mnie zeszła Marjo! i w brzasku mych myśli,
„Świetną drogę twe światło ku niebiosom kréśli!

„O szczęśliw — pyszny — wdzięczny — że w załotném gronie,
„Czułość na mnie z ufnością śliczne sparła dłonie!
„O! błogi, że w twém sercu przez mokre źrenice,
„Życia—czucia—Aniołów—czytał tajemnice!
„Lecz czemuż ta mgła smutku, któréj ciężkiém tchnieniem
„Ja oddychał—i ciebie okryła swym cieniem?
„Czemuż we mnie tarń życia kolcami nie wrośnie?
„Tobie mdłym pachnąć kwiatkiem w krótkiéj swojéj wiośnie!
„I mnie wydarli wszystko—i więcéj niż tobie—
„Ty do nieba należysz, ja się błąkał w grobie;
„A czarném pędzon widmem, gdym jasność postradał,
„Byłbym świętym przedmiotom srogie ciosy zadał,
„Bo z panem Wojewodą nie służy żartować,
„I raz dobywszy miecza, już go nie trza chować;
„Toby się ojców zamek był kurzył szeroko,
„I nie jeden pokrewny oblewał posoką;
„Toby w sercu osiadły ten dym i ich cienie—
„Alebym Marji dopadł przez krew i płomienie!

„Nie drżyj, wszystko minęło, gdym ciebie zobaczył,
„Jeszcze pierwéj—jak tylko, żeś moją, oświadczył,
„Tak mi tém jedném słowem serce usposobił,
„Jak gdyby mi nikt, nigdy, nic złego nie zrobił.
„To wziąwszy moją szablę któréj blask odsłonię
„Nie prywacie, lecz twojéj i kraju obronie:
„To wziąwszy mego konia, co nieraz w te niwy
„Tak szybko mnie unosił—jechałem szczęśliwy.
„Och, z jakąż ja radością te lipy ujrzałem!
„Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapałem?
„Ty nie wiész—ty co umiesz bez chluby łzy koić—
„Co to jest dzikie serce do siebie przyswoić,
„Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować,
„W których spomnieniu umysł chciałby istność schować.
„Marjo! czyś ty nie chora? bo masz taką postać,
„Jakbyś się do Aniołów myślała już dostać;
„I w nowém udręczeniu, choć się tobą pieszczę,
„Prawie się spytać pragnę—czy mnie kochasz jeszcze?"'
„Czy Marja ciebie kocha? mój drogi, mój miły,
„Więcéj niż kochać wolno i niż mogą siły;
„Więcéj—niż wątłe serce, gdy jemu już zadość,

„Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość:
„I gdyby nie Tatarzy co mi w oczach błyszczą,
„I gdyby nie ich strzały co mi w uszach świszczą,
„Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
„Jakbym w twojém objęciu leciała do Nieba.
„Czy Marja ciebie kocha? pytaj się jéj cienia,
„Czém dla Marji świat cały bez twego spojrzenia?
„Czém dla Marji świat przyszły — bez twego spomnienia?...
„Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad tą dużą księgą,
„Zniżona całém czuciem przed Stwórcy potęgą,
„Gdym chciała ciebie stłumić modlitwy pociechą,
„Zaraz mi brzmiało, jakby—twego żalu echo!
„To może Pan Bóg skarze tak żywe kochanie
„I tatarska ci strzała w serce się dostanie.
„Widzisz ten jasny promień, co z liści osnowy
„Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy?
„Ten promień żywi—zdobi—każdego weseli;
„Czemuż gdyśmy złączeni— on jeszcze nas dzieli?
„Próżno, próżno, mój luby—choć usta z ustami,
„Patrzaj – chyli się z liściem, i jest między nami.
„Ach! śród uniesień bitwy i zwycięztwa wrzawy,
„Przypomnij sobie drogi, że promień twéj sławy,
„Tak czysty, taki świetny, jak słońca na niebie,

„Jaskrawym swym wieczorem noc spuści na ciebie —
„Oh! niechaj pierwéj Marję w ciemnościach zagrzebie!
„Nieprawdaż mój Wacławie? ty będziesz odważny,
„Stały, wytrwały, dzielny — ale i uważny.
„A gdy już moje oczy wdrążone zgryzotą,
„Długo patrząc w swój żywioł, swe życie rozplotą,
„Gdy serce wytchnie z trwogi przy piersiach bez stali —
„To może się na miłość Wacław nie pożali?
„Cieszyć się twą radością — twój smutek łagodzić —
„Nie myśleć tylko o tém, w czém tobie dogodzić —
„Być twoich chwil osłodą—czasem ich ozdobą—
„Żyć dla ciebie i w tobie—umierać przed tobą—
„I w téj ostatniéj chwili, choć w cierpień natłoku,
„Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojém oku—
„A gdy nie wolno z tobą, żyć w twojéj pamięci—
„To Marji cała miłość, wszystkie Marji chęci...
„Skoro mi szczęśliw wrócisz, mą harfę nastroję,
„I przy blasku księżyca usiadłszy oboje,

„W tkliwéj, smutnéj, jak lubisz, unosząc się nucie,
„To co nikt nie wyraził—przywłaszczym uczucie.
„Ach!—z jak okropną trąby zagrały żałobą!
„Oh! nie rzucaj mnie znowu! oh! zabierz mnie
z sobą!“

—

XVIII.

Padła w drogie objęcie, i wygiętą kibić
Żal z taką drżącą trwogą do niego chciał przybić,
Taka mdłość w bladych licach, a śliczne ramiona
Tak go czule garnęły do słodkiego łona—
Że gdy z tych smutnych pieszczot wydzierał
swą wolę,
Jakby je zrywał z serca, takie w niém czuł bole.
Nie — zostać niepodobna — chyba sławę skazić,
I zawdzięczając miłość na wstyd ją narazić!
Lecz, oh! jakże głęboka, jak posępna żałość,
W rozpaczy swéj kochanki hartować swą stałość!
Ani jéj wszystkich wdzięków pożegnać był w
stanie,
Ni czasu w marnych jękach przeciągać rozstanie!
Woła do chwały trąba, siwy wódz go czeka,





Burczą rozpięte znaki, zwycięztwo ucieka.
Powstał — złożył swą lubę — dzikim ogniem błysnął—
Białą omdlałą rękę do ust swych przycisnął,
Jakby w jéj szczupłe, gładkie, roskoszne ugięcie.
Chciał wrazić wszystkie czucia, w swych uczuć zamęcie.
Już odszedł — wziął spokojność—przed wzrokiem co czuwa,
Lśniącą, wyniosłą postać krok każdy usuwa;
Już w jego próżném miejscu zadumana, blada,
Ciszę budząc westchnieniem, samotność usiada;
A na odłogu szczęścia, zgryzota korzeni
Swe kolczyste łodygi, robaczliwéj rdzeni.

—

XIX.

Dosiadł bystrego konia, lecz troskę miał w oku
Młody Wacław—i w pierwszym osadził go skoku;
Dosiadł bystrego konia, lecz spojrzał wesoło
Stary Miecznik — i w pędzie zawinął nim koło;
Za niemi brzmią puzany— za niemi, za niemi,
Zrywają się rycerze, jakby ptaki z ziemi;

Hasa szlachecka młodzież na wroga Tatara—
Sunie się towarzystwo, i w szeregach wiara
Pancerni i usarze—za niemi kozaki,
I z spłoszonemi końmi harcują luzaki.
Patrzaj pyzate dziécię z pod słomianéj strzechy,
Niech ci widok żołnierzy zaszczepia uśmiechy,
To może dziki owoc zerwie potém wojną:
A ty matko co kłaniasz, bądź zdrowa, spokojna
Nie trwoż się szczękiem zbroi, długiemi dzidami,
Zapał polskiego wzroku ugasza się łzami.
Już we wsi tylko kurze—jeszcze słuch, łoskotem
Drga, dźwięcząc przygłuszony, i koni tupotem.
Już we wsi kurz osiada —jeszcze przerywanie
Zdala wojennych rogów dolatuje granie.
I cicho — jak na sercu śmierć swój obraz kréśli,
I pusto — smutno — tęskno — jak u Marji w myśli.
Wzniosła swą lekką postać do góry, do góry,
Nic nie widać—wiatr tylko szare goni chmury:
Zniżają się kolana, prośba ręce składa,
Z oczu w niebo utkwionych kroplami żal spada;
I cicho—jak modlitwa w łono Boga płynie—
I pusto— smutno — tęskno —jak gdy szczęście
minie.

—



PIEŚŃ II.

On Conrad's stricken soul exhaustion prest
And stupor almost lulled it into rest.

BYRON.

I.

„Bujno rośnie, odludnie kwiat stepowy ginie;
„I wzrok daleko, próżno błądzi po równinie:
„A w niezbędnéj zgryzocie jeśli chcesz osłody,
„Chmurne na polu niebo, i cierpkie jagody!
„Idź raczéj w piękne mirtów i cyprysów kraje,
„Codzień w weselnéj szacie u nich słońce wstaje
„U nich w czystém powietrzu jaśniejsze wejrzenie,
„I głosy rozpieszczone, i rozkoszne tchnienie:
„U nich wawrzyny rosną, i niebo pogodne,
„I ziemia ubarwiona, i myśli swobodne,
„A na kształtnych budowlach, męże wieków dawnych
„Stoją w bieli—i pyszni z swoich imion sławnych,
„Zapraszają z daleka w czarowne zwaliska
„Bogów i bohaterów—pająków siedliska.
„Tam, jeśli dawnych rzeczy myśl w tobie głęboko,
„Może w ten śliczny błękit wpatrzywszy twe oko,
„Słodycz w rozpaczy znajdziesz, i lubość w żałobie,
„Jak uśmiech ust kochanych w śmiertelnéj chorobie.

„Ale na pola nie chodź gdy serce zbolało;
„Na równinie mogiły — więcéj nie zostało —
„Resztę wiatr ukraiński rozdmuchał do znaku—
„To siedź w domu, i słuchaj dumek o kozaku.“

„Moje młode pacholę gdzież to ty wędrujesz?
„Czy z Ziemi Świętéj wracasz,że tak utyskujesz?“

„Oh! nie — ja wszystkim obcy śród mojéj ojczyzny—
„I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny—
„I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze—
„To mnie ciężko na sercu, i ja sobie płaczę.
„A kiedy się rozśmieję—to jak za pokutę:
„A kiedy będę śpiéwał—to na smutną nutę;
„Bo w mojéj zwiędłéj twarzy zamieszkała bladość,
„Bo w méj zdziczałéj duszy wypleniono radość,
„Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy.“

„To czego chcesz pacholę?“—
„Uciec od rozpaczy.“

—

II.

Stało młode pacholę, pod płotem zostało.
Na smutek co się skarży uważają mało,
A ten co z niém rozmawiał na wrotach oparty,
Wyszczerzył w inną stronę wzrok cały otwarty—
Skąd w różnofarbnych strojach, huczne czyniąc
wrzaski,
Niespodzianym orszakiem, zbliżały się maski.

1.

„Czy znasz weneckie zapusty?
„I w noc, i we dnie,
„Wesołe, szalone, przednie:
„Maska twarz kryje—a kto się pyta
„O sprawy czyje, tego przywita
„Wrzawa, śmiech pusty.
„Żywo, radośnie,
„Skrycie, miłośnie,
„Staruszek Doża, Arlekin młody,
„Dziewczyna hoża, szuka osłody;
„Matrony,....., oszusty,
„Swobody;

„A kryte łodzie
„Czernią na wodzie.
„Wrzawa, śmiéch pusty;
„Czy znasz weneckie zapusty?“

2.

„My sobie jedziem kulikiem;
„I w noc, i we dnie,
„Wesołe, szalone, przednie:
„Maska nas kryje—a kto chce wiedzieć
„Skąd my i czyje? to odpowiedzieć
„Śmiechem i krzykiem.
„Szczera ochota
„Otwiera wrota;
„Bo krakowianki i pielgrzym stary,
„Żydzi, cyganki, uderzą w pary;
„Wróżki, diabli, nie oszusty,
„W puhary.
„Lecim saniami,
„I jadą z nami
„Wrzawa, śmiech pusty;
„Czy znasz ty polskie zapusty?“

„Ale tu wejść nie można—teraz nie zapusty—



„Pan Miecznik na Tatarach, to i dworzec pusty."
Tak stary sługa wstrzymał tych przychodniów śmiałość;
I znów rozparł na wrotach niewzruszoną stałość
Lecz gdy grać, śpiewać, piszczeć, grzechotki potrząsać,
Poczęły wszystkie larwy—a nogami pląsać,
I łączyć obce stroje, papierowe czoła,
Wzrok żywy, rysy martwe—w migające koła;
I farby, blaski, cienie, rozwijać w polocie,
I skoczno, zwinno, huczno, rzucać się w obrocie;
Tak mu w szumiącéj głowie myśl wzięła tańcować,
Że patrzał, a nie wiedział, jak się pomiarkować:
Śmiał się z żydów, cyganek; bał wróżek z diabłami;
I chciwie łapał ruchy—i mrużył oczami.—
A maski przed nim skacząc mijały się żwawo,
A maski w nim ciekawość syciły obawą.
Aż wykrojone usta zadmuchawszy w rogi,
Opuściły się ręce — zatrzymały nogi —
I głosy ostre, fletni umilone wtórem,
Wrzasnęły tę piosneczkę niedobranym chórem:

„Ach! na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy się troski do duszy wkradną,
„Hucząc w niéj chmury czarnemi,
„A gdy nieszczęścia na kogo spadną,
„I postać wzniosłą, szlachetną, ładną,
„Smutek nachyli ku ziemi,—
„O! niech na chwilę złość się już schowa,
„Rany sztyletem nie cuci....
„Niech choć przy zgonie zabrzmią te słowa:
„Wróci spokojność—wróci!

„Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„Albo gdy nieba cud nad chorobą,
„Gołąb—od przekleństw odleci;
„I wiedzę życia zabierze z sobą,
„A wyschłe lica nadmie żałobą,
„Wprzód nim gromnica zaświeci,—
„Niech nikt, by uśpić zgonu boleści,
„Tryumfu pieśni nie nuci...
„Chyba te słowa w końcu umieści:
„Wróci twój Anioł — wróci!

„Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy kto chętny w drugich obronie,
„I sam się w przepaść zagrzebie,
„Krótka stąd radość w zawiści łonie;
„Choć złe i dobre w grubéj zasłonie,
„Sąd ostateczny jest w niebie;
„Może w kłopocie i silna głowa
„Posępnie kiedy się rzuci...
„Niech z ust życzliwych brzmią wtedy słowa:
„Wróci wesołość—wróci!

„Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy kto dążąc z dalekiéj drogi,
„W mieszkanie przyjaźni zajdzie,
„I już w uściskach topić ma trwogi,
„Lecz ciche, puste, przebiegłszy progi,
„Twarzy kochanéj nie znajdzie:
„Więc drżąc, czy się co złego nie dowie,
„Spuszczone czoło zasmuci...
„Niech choć gościnność kręcąc się powie:
„Wróci gospodarz—wróci!

„Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie."—

„Ha! Pan Bóg święty z wami! jeśliście nie duchy,
„To wasze pstre maszkarki wesołéj otuchy;
„Albo to nam pierwszyna? wszak nieraz kuligi,
„Po całych tu miesiącach skakały jak frygi:
„Prosim — Jegomość wróci — a choć nie jest
w domu,
„Na winie i pierzynie nie braknie nikomu."
Weszły — nisko kłaniają — w parach się pro-
wadzą —
Obzierają się w koło — i kupią i radzą.

—

III.

Słońce już w ówczas łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki;
A żółtém drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie.
Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie,
Lecz łagodne, widome, rozsiewa promienie;
I w krótkiém pożegnaniu, nim w głąb się zagrzebie,
Śmiertelnym oczom patrzeć pozwala na siebie:





Jeszcze—w chwili ostatniéj nie znika z pośpie-
chem,
By wszystkie twory życia napoić uśmiechem;
Jeszcze wziera przez szyby w mieszkanie czło-
wieka,
Jak wzrok tęsknéj przyjaźni co w podróż ucieka;
I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,
Nurza swe czyste łono w tajniki natury —
Gdy noc, zazdrośnym palcem ścierając dnia
ślady,
Ciemny płaszcz wlecze z tyłu, dla zbrodni i
zdrady.

Lecz gdzież bawi pan Miecznik? właśnie to jest
pora,
W któréj przyrzekł po bitwie wziąść się do
gąsiora;
I miał żywéj radości w sercu nie uchować,
Dom zebrać, córę szczęścić — bo zięcia czę-
stować;
I piękna mu gromada przybyła w gościnę:
Jakąż niewczesnéj zwłoki może dać przyczynę?

—

IV.

Od chwili co zwycięztwa odkryła się meta,
Od chwili co w niéj dosiadł żartkiego dzianeta,
Od chwili w któréj trąby w wszystkie jego żyły
Głosem dzielnéj przeszłości jak grom uderzyły;
I widział raźną młodzież—i słyszał chrzęst broni,
Trzask goleń, szum proporców, a chrapanie koni;
I dążąc w drużbie z zięciem gdzie im sława świeci,
Czuł to co stary orzeł gdy pisklę z nim leci.
Od chwili co mu myśli, wstecznym kręcąc biegiem,
Tatarskie zbrodnie krwawym stanęły szeregiem—
Hardość w zmarszczoném czole, ogień był w źrenicy,
Czapka na lewém uchu, zniszczenie w prawicy,
Gdy chciwa walek dusza przeraźliwie strząsa
Każdy włos najeżony u siwego wąsa.
Jak tylko wyszli za wieś—mieczem z pochew świsnął,
I wzrokiem, coby tchórza do ziemi przycisnął,
W bitwie hufce patrząjąc że aż serce rośnie,
Do uważnego słuchu zawołał donośnie:
„Panowi szlachta! miejscy! bracia szeregowi!

„Wiem żeście spaść na wrogów jak piorun gotowi;
„A ktoby się miał straszyć tatarskiego tańca,
„A ktoby życie szczędził srogiego pogańca,
„Niech mi tu precz na szkapie do domu wyskoczy—
„Bo bym mu potém kordem zamalował oczy!
„To szybko, łącznie, śmiało—strzałki wystrzelają—
„Bóg wiara—ufność szabla—i łby pospadają
„Jak kłosy, co to niby migocą się świetnie,
„Nazajutrz leżą zwiędłe, gdy kosa je zetnie.
„Ale nikt nie potrafi jeść kaszy spokojnie,
„Jeśli wybić szarańczy nie umie na wojnie;
„To cicho—bacznie—mądrze — aż gdy huknie w trąbie,
„Wpaść obces, i pokazać że to Polak rąbie;
„Wtedy dopiéro każdy niech mi ryb nałowi,
„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!"

Potém jadący szłapią z swoim zięciem w parze,
Naradzał się po cichu w wojennym zamiarze;
Mówił szpiegów wywiadki; tłómaczył jak, kędy,
Sił wzajemnych w natarciu połączyć zapędy:
Jak korzystać z zwycięztwa; w przypadku odporu,

Jak używać na pogrom ucieczki pozoru.
Słuchał zajęty Wacław—gdy ręka i głowa,
I każdy rys Miecznika, popierały słowa:
Rzekłbyś, patrząc w ich obraz, że sztuka malarza
Z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza,
Żywość w starcu, w młodzieńcu rozwagę wyraża.

—

V.

Tymczasem wieś minąwszy, z bitéj schodząc drogi,
Coraz się, coraz głębiéj, wpędzali w odłogi;—
Gdzie wiatr ziarna zasiewa, czas płody przewraca,
Nie zbiera plonu chciwość, ni schyla się praca—
Samotne—ciche—błogie—dziewicze ich wdzięki
Kwitną skrycie, od człeka nieskażone ręki;
Niebo je obejmuje—gdy w całym przestworze,
Rozfarbionéj żyzności rozciąga się morze.
Tam wódz stary, jak żeglarz, podług biegu słońca,
Szybował swojém wojskiem w kierunku bez końca;
Łamią się rosłe trawy, krżą chwasty, a zioła
Składają pod kopyta balsamiczne czoła.

Ale przez siwe wąsy nie przechodzą wonie,
Ni lubość tchu słodkiego w grożnêm biegu łonie;
Wojna, wojna zajmuje wszystkie jego władze,
Cześć prochom pól ojczystych, zemsta ich zniewadze!
Ani się wwieść dozwolił w fałszywe zapędy,
Gdy zszedł tatarskich śladów kręcone obłędy—
Co śród gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnéj poznaki—
Lecz w poprzek przerzynając ich sztuczne drożyny,
Uśmiechnął się —jak strzelec gdy pewny zwierzyny,
Wkrótce—złączone hufce—w umyślnym fortelu,
Rozdzielił na dwie części—dla jednego celu:
Do zostających czapką kiwnął pożegnanie,
Z swojemi w bok się rzucił na niezmiernym łanie;
A kryjąc się w bodiaków rozkwitłych ogromie,
Już rycerze bez koni w czerwonym poziomie—
Już popiersia wędrują na skrwawionym spodzie—
Już kołpaki—proporce—już znikli jak w wodzie.

—

VI.

I Wacław, pan wszechwładny, śród stepów prze-
strzeni
Sam buja w swojéj woli—czegoż tak się mieni?
I Wacław dziki, mężny, śród dzikiéj natury
Wiedzie hufce do chwały—czegoż tak ponury?
Śpiewa mu głośno wicher, a Wacław w nim nieraz
Lubił kąpać swe oczy—czemu spuszcza teraz!
Smutny on, zamyślony, choć pełen ochoty,
Nie spojrzał nawet jeszcze w swoje wierne roty?
A dla czego? sam nie wie—tylko że mu sława
Łzami Marji spłakana, przed oczami stawa:
Tylko że jego serce w takiém nagle drżeniu,
Jakby kto kir przeciągnął w śpiącego ocknieniu
I w strachu go zostawił—w trosce i zdziwieniu.
Szybkim głowy pomiotem strząsnął złote włosy—
Jakby się pozbyć starał zimnéj na nich rosy.
Szybkiéj konia w wyskoku przychylił się woli—
Jakby ulecieć pragnął do swojéj niedoli;
A w jego mglistych oczach taki blask w téj chwili,
Jak kiedy dusza czucia najżywsze przesili,
I wszystkie razem smutki w zwycięstwie roz-
żarzy

Światłem nieśmiertelności na śmiertelnéj twarzy.
To jakiekolwiek myśli, wspomnienia, czy trwogi,
Żal, słabość, czy widziadła—zbijały go z drogi;
To jakiekołwiek losy zwalczą jego czynność,
Już teraz miłośnicą—rycerska powinność!
Czy Duch złego, co ludziom nadziei zazdrości,
Odchylił mu przez chwilę zasłonę przyszłości?
Czy struny natężone tkliwym władz wysnuciem,
Tknięte ręką nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem?
Może on w boju legnie?—co bądź mu przypadnie,
Jego umysł, ni szabla nie uleże snadnie;
A chociaż śmierci oddech mgła oczy zasłoni,
Rdzy nie będzie na sercu, ni na jego broni.
I jak wstrzymany potok w swoim bystrym pędzie,
Dno porze, i rozwala łożyska krawędzie;
I jako rumak z pęta gdy lot swój rozwija,
Rwie ziemie, ogień ciska, i wiatry wymija:
Tak Wacław niecofnięty w swym ciemnym zawodzie,
Rozdarłszy tło przyszłości co mu na przeszkodzie,
Tém chciwiéj, tém gwałtowniéj, na sztych się wydziera,

Groźnym pewności wzrokiem w swój oręż poziera:
A jednak, głos straszliwy (choć spojrzenie dumne)
Brzmi w całém jego ciele: — „Zdobędziesz ty trumnę!“

—

VII.

Jest trosków—kolców—bolów—niemało w tém życiu,
I więcéj niż na jawie płynie łez w ukryciu:
A kto się hucznym śmiechem śród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu—szczęsnym się nazywa.
Lecz gdy umysł szlachetnéj uległszy ponęcie,
Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przedsięwzięcie,
Brnie w zdradliwéj ufności, a za każdym krokiem
Podkopanych przepaści otoczon widokiem —
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepoce swe skrzydła,
Widzi chłopię z pałeczką, a na szponach sidła —

Gdy sroższéj od najsroższych wpatrując się męce,
Sama nawet odwaga załamuje ręce,
A z tysiąca blizn czarnych co jéj w sercu cięży,
Gniazdo syczących na świat wylęga się węży—
Gdy złość w swojém szaleństwie zrobiła zabawę,
Wydrzeć życie w kaduku, ale pierwéj sławę,
I nie tylko obecność tarza się w ohydzie,
Przyszłość jeszcze otruta rozczochrana idzie;
Komu? anielskiéj duszy; co za to przeklęta,
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta—
Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia —
Większe to niżli ziemskie, piekielne cierpienia!
Czy te, lub inne jeszcze dotkliwsze katusze,
Zlały swój wrzący ukrop na młodzieńca duszę.
Ci co za nim rzędami w ślniącéj gonią fali,
Na smutek swego wodza nie wiele zważali;
Każdy myślał—i chociaż różnica w sposobie,
W tém przecież podobieństwo—że każdy o sobie;
A jednak każdy gotów z wzniesionèm żelazem
Rzucić się w ciennik śmierci—za jednym rozkazem.
Szli—w milczeniu—w porządku—konie koniom w tropy
Krzyżujących nóg stawiąc migające stopy—

Kędy ich długim sznurem, wedle swojéj chęci,
Po odludnych manowcach młody Wacław kręci;
Przez niezmierzone niwy—tam gdzie już równina
Zda się kończyć, i znów się w płaszczyznę za-
gina.
Dochodząc—na przeciwko jasnego obłoku
Jak Rycerze powietrzni wydali się oku.

—

VIII.

Lecz cóż widać na wzgórku? z blizkiego rozdołu
Kłęby dymu z iskrami buchają pospołu,
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry
W ciężkie—czarne—skrwawione—rozchodzą się
chmury.
Lecz cóż słychać na wzgórku? w przyległéj
nizinie,
Płacz, jęki, krzyk rozpaczy, w słomianéj dzie-
dzinie,
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwém brzmie-
niem,
Nawet pierś w stal oprawną podnoszą — west-
chnieniem.

„Baczność—do broni wiara—chorągiew rozwinąć —
„Tatarzy wieś rabują—zwyciężyć lub zginąć!“
I nagle jak wodoskok, rycerze zajadli
Z błyszczącym szumem z góry na dolinę wpadli.
Tak,—pożar z rąk łupieżców wieś całą ochłonął;
Gdy lud zlękły, bezbronny, w krwi i łzach utonął,
Lecz nie czas koić boleść ni mienie ratować,
Lub pojedyńczo z wrogiem o zdobycz harcować,
Bo już przez swoje czaty, ich Han ostrzeżony,
Zebrał znaczniejsze hordy w taniec ulubiony;
Tam za wsią stoją—całe zakrywają pole—
Bór w lewo — strumień w prawo — a oni w półkole.
Widzi ich dobrze Wacław, ale razem zważa,
Że napad uchybiony na zgubę naraża.
Jak się cofnąć przez ogień? ej! któż zdoła minąć
Co mu niebo przeznaczy—zwyciężyć czy zginąć?
„Czyja wola to za mną“—rzekł, i śpiął rumaka,
Co nim się rzucił w pożar, zżyma się i wskaka
(Mniej ów niżli Graf Wacław odważny i dziki).
Jakżeby wodza polskie odstąpiły szyki!
To i oni w płomienie—śród blasku pożogi,
Przez głownie i zarzewia, szukają swéj drógi.

Już za wsią—i wraz, szybko, sfornie, lekko,
i śmiało,
Rozwinęło się wojsko i w linji ostało:
Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym
dźwiękiem—
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzę-
kiem,
A prychające konie i schylone ciała
Jednym pędem uniosła i Zemsta i Chwała.

—

IX.

Dzielne było natarcie: Tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki;
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt z ludzką się
jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały—
Pożar—stepy w około—świszczące już strzały—
Żadnego, albo raczéj jak z bodźców odzienie
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.

Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło z bliska,
Ludziom, ostrza się dotknąć—koniom, pyskiem pyska—
Gdy w pół obręcz wpadali — wsławionėm prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem:
„Alla hu!“ wrzasły hordy, i tysiączne roty,
Na opasanych—strute wypuściły groty.
„Hura!“ krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała—w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą—zbitym w rzędy tłumem—
Lasem dzid najeżonych—z hukiem, z trzaskiem, z szumem;
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych Bisurmanów wali się złamana:
Tratują ludzi konie; koncerze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije:
Zapał głowy ogarnął; stal błyska, krew broczy,
Śmierć trudzi się zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało—bo z boków, i w tyle,
Barbarzyńcy nastają w niezliczonėj sile:

Czas ginąć hufcom polskim; młody wódz je zbiera—
Zachęca ich—szykuje—obraca—naciera—
Dopiéro mieszanina—każdy obskoczony,
Wirem męztwa na wszystkie wywija się strony,
Rąbie, sili, morduje, z nieprzebraną zgrają,
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają.
Stęk zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski!

—

X.

W natłoku wrogów, co go od swoich oddziela,
Sam,—bez wsparcia—nadziei—świadka—przyjaciela—
Walczył ponury Wacław; i walczył już o to,
Żeby życia co cięży nie oddać z sromotą.
Śmierć miotał śmierci pragnąc—oh! bo w serca głębi,
Pisk taki jak gołębia pod dziobem jastrzębi,
Harmonją jego myśli; lecz czy to z zdziwienia,
Czy z strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,

Ściskająca go w węzeł niezliczona tłuszcza,
Coraz to w większą przestrzeń przed nim się
rozpuszcza.
Widzą—poznają wodza—i każdy koleją
Rzuci się, zmiesza, zginie—zwyciężyć nie śmieją.
I gdy błękitném okiem rozpoznał młodzieniec
Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec,
Smutku tylko doświadczył z téj dziwnéj ko-
rzyści—
Że już jego przeczucie na nim się nie ziści.
Czemuż choć jednéj strzały nie mieli w kołczanie,
Co by jadem jaszczurki utkwiła się w ranie?
Żal mu że już uchodzą—życia się obawia—
Goni ich srogie dusze—piersi im nadstawia!
Zaraz, zaraz—otyły, brunatno-czerwony
Han tatarski tam wpada, wściekłością spieniony;
Postrzegł, że jego hordy jakaś moc zwycięża,
Postrzega—że to męztwo samotnego męża,
Targa kłaczystą brodę—z rozpaczy, w ohydzie
Gębę krzykiem rozdziawia: O! zgrozo! o! wsty-
dzie!
Na jednego tysiące, z zmarszczoną powieką,
Miecze wznoszą—już lecą—rozsieką! rozsieką!

—

XI.

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeże hufy czwałują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz, krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, w wydatnéj postawie,
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie.
Jak lwica opuściwszy swoje lwiątko, skoczy
Zajadłém męztwem, gdy je wpośród ludzi zoczy—
Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieje—
Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje—
Z takiém zmieszaném czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świecącym w ręku, z lotem błyska-
wicy,
Zdziwionym, zlękłym oczom gdyby jakiéj mary,
Obok swojego zięcia—Miecznik stanął stary.
Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie
Tobie należy najprzód napuszony Hanie!...
Lecą obces na siebie—Polacy, Tatarzy
W bezczynném zachwyceniu patrzą co się zda-
rzy —



Jakiś czas Miecznik zmudził, uderzy — odskoczy —
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy:
Aż wybrawszy swą porę, w odwet, silnym razem
W kark niewierny święconém utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie, i gaśnie—z tułupa,
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają — koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana.
Strach przejął barbarzyńców; grzmią trąby—rzcż grają—
Nowi rycerze gonią—dawni się zbiegają —
Trzask, iskry — świst z połyskiem — huk—wrzask—jęk i rżenie—
A zapylona sława upięknia zniszczenie.

—

XII.

Krótko już trwała walka—wielu oręż składa,
Więcéj legło, płochliwych straż tylna dopada:
Na stratowanéj ziemi płyną krwi potoki—
Leżą polskie, kozackie i tatarskie zwłoki;
Jak który upadł tak mu zostać już niewola,
Dusze k'niebu, ich konie rozbiegły się w pola.
Opodal od nich w kurzu kołpaki, turbany,
Tylko miecz wierny przy nich posoką zbryzgany.
O! ty, co twój byt zawisł od współbraci mę-
ztwa,
Pójdź słyszeć radość wojny i krzyki zwycię-
ztwa!
Zobacz—jak wpośród trupów, co już robak wierci,
Wąsate twarze sobie winszują ich śmierci,
I nasępione czoła rozwidniają śmiechem,
Co w swym hucznym odgłosie jakby gromu
echem!
Chodź—nie drżyj; stanąć przy nich każdemu
zaszczytnie—
Krwią wrogów zlana śmiałość tak bujnie w nich
kwitnie!

A jeśli w tobie budzi życia poświęcenie
Za kraj swój, za swych ziomków—tylko strachu
drżenie,
Jeślibyś wszystko za nich nie oddał w potrzebie.
Opatrz się dobrze wewnątrz — to zlękniesz się
siebie.
Chodź—do stalowych piersi, twój kaftan wełniany
Przyciśnij z wdzięczném sercem—i całuj ich rany.

—

XIII.

Był wzgórek z brzegu lasu, zielenił swe czoło,
I zapach macierzanki rozsyłał w około;
Na nim schylone brzozy, w swéj białéj odzieży,
Płakały, gdy warkocze wietrzyk pieścił świeży,
Jak cienie dawnych dziewic przy kościach rycerzy,
Tam, pod ich snem mroczące balsamiczne wieńce:
Ściągnęli na spoczynek zwycięzcy i jeńce;
Bo w życiu choć ta jedność—że roskosz z cier-
pieniem,
Trud, nuda, wstyd i sława, kończą się — znu-
żeniem.

Z przodu — gasnący pożar, jeszcze czasem ciska
Nagłym, śmiertelnym blaskiem, na plac bojowiska;
Z tyłu—słońce, już wówczas schowane za borem,
Palącego się lasu dziwiło pozorem:
Szarzały wszystkie farby—kruki gromadami
Zlatywały się krążąc, wrzeszcząc ńad trupami—
Czaty porozstawiane — przy ogniskach wrzawa
Migających się ludzi—w końskich zębach trawa
Jak chrzęst odległych zbroi—a jak orzeł biały,
Siwy, stary pan Miecznik, ale pełen chwały
Chodząc z odkrytą głową pod brzozą tam siedział,
I ponuremu zięciu te słowa powiedział:
„Synu! — bo kiedyś z sercem połączon tak blisko
„I masz w niém miejsce syna, miejże i nazwisko!—
„Dziś jakby wszystko wite na szczęśliwéj nici;
„Nasz Wacław powrócony — Tatarzy pobici —
„Spokojna Ukraina, bogdaj na czas długi—
„Fortuny to szczodroty nad moje zasługi.
„Lecz kiedy dusza zda się dzierży czego żąda,
„Cóś Wasze na zwycięzcę smutnie mi wygląda?
„Patrzno, jakże ci pięknie xiężyc oto wschodzi—
„Zadość sławie, i sercu sfolgować się godzi;
„Siadaj na koń, śpiesz wesół, kędy szczéra żona,
„I wierna wam drużyna, przyjmieć utęskniona:
„Ja tu objażdżki dojrzę—a jutro ze świtem

„Brzękną wam na dobry-dzień witaném kopytem.
„Siadaj—twój dzielny rumak prędko cię dostawi;
„Bądź zdrów! niech ci Bóg zawsze jak ja błogosławi!“

—

XIV.

Powstał z pośpiechem Wacław, i dawnym zwyczajem
Uściskał starą rękę—co jemu nawzajem
Szorstkie, silne, lecz szczére oddała ściśnienie;
I już bystry koń z jeźdzcem przesadza drzew cienie —
A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy.
O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
Srebrny połysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna xiężyca malutka się dwoi.
O! jak śliczne wśród ciszy w naturze rozlanéj,
Lecieć z stęsknioném sercem do swojéj kochanéj!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią,
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!

Wtedy to słodkie tony brzmiące przerywanie,
Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie
W dzikiéj, tęsknéj, i żywéj, i tkliwéj muzyce,
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice.
Wtedy to luby zapach, co z kwiatów ulata,
Lekkiém tchnieniem roskoszy mgłę trosków od-
miata,
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała
W niebiosa swego Twórcy, z kajdan swego
ciała:
Wtedy matka natura—wszystko z człekiem dzieli
I wszystko się uśmiecha, i wszystko weseli:
Wtedy w schowanéj szabli uraz zapomnienie,
W pysznėm spojrzeniu — dobroć, w ustach —
przebaczenie.
I tak to leciał Wacław—błogi, gdyby nagle
Piorun rozdarł w téj chwili jego życia żagle,
Bo by nim wicher świata miotać nie był w sile,
Chybaby szumiał wściekły po zimnéj mogile.
I takto mijał stepy—lecz świetne marzenie,
Co niém ćmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Oh! zbyt krótkie! Jak widmo wstaje przypo-
mnienie;
I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
Szepcą dreszcz i niepokój zgromadzone mary:

„Tak ją mdłą, słabą widział: a wszak bez obrony
„Więdnie pieszczotny powój — a wszak bez osłony
„Nie trwa tu słodki owoc—i cóż? ledwo wrócił.
„Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!
„Dla czego? dla czczéj sławy, któréj blask nie waży
„Jednego uśmiechnienia ukochanéj twarzy.
„Gdybyż przynajmniéj w los swój wierzyć miał powody?
„Lecz ledwo burza przeszła, już pewny pogody,
„Niepomny jak to gorzko czas zgryzotą liczyć,
„Płochy, wydarł się szczęściu co mógł odziedziczyć."
Ach! daléj, prędzéj! lekko przez chwasty i rowy
Sunie koń wyciągnięty—a brzękiem podkowy,
Hukiem pędu, błyszczącą postacią rycerza,
Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza;
„Ha! ha!"—nim otarł oczy i serca mógł dowieść,
Znikł rycerz, i zostawił o upiorach powieść.
I tak to leciał Wacław—szczęśliw, trwożny razem,
Śliczny, straszny — był wiernym śmiertelnych obrazem.

—

XV.

Do wrót wreszcie koń doparł swe piersi spienione;
I zarżał — nozdrza chłodząc, to w tę, to w tę
stronę:
Lecz chociaż xiężyc jasny, nie widać nikogo;
Ni giermek do strzemienia szybką skoczył nogą.
„Musi być bardzo późno—niech śpią—trosk nie
czując“ —
Tak myślał młody Wacław konia przywiązując;
I z tą żywą pociechą, w którój serce tonie,
Kiedy już bić ma wkrótce przy kochaném łonie;
I z tém świetném wejrzeniem, gdzie kona obawa,
Jednym radości skokiem — u drzwi domu stawa:
Ach! ileż wdzięków, pieszczot, jemu się obudzi!
Chwila jeszcze, a będzie szczęśliwszym od ludzi,
Od Aniołów!—Zastukał—raz—drugi—i trzeci—
Trzy razy czujne echo z odpowiedzią leci,
I milczy—to jedyny znak ruchu lub życia
Który tam drzymiąc czekał rycerza przybycia;
Ni chodu śpiesznych kroków, zgiełku w nagłéj
mowie,
Ni światła—w ciemnéj, cichéj, zamkniętéj budo-
wie.

Oh! jakże sen ich twardy! Niecierpliwość radzi
Że szabla jednêm cięciem przez próg przeprowadzi—
Lecz tę gwałtowną radę musiał on odrzucić;
Wnosić jéj niespokojność, żeby swoję skrócić?
Raczéj niech w jego piersiach burz kończy się droga,
Byleby nigdy do niéj nie doszła ich trwoga!
Jeszcze stukał—lecz słabiéj—bo już w serca niebie
Rosło anielskie czucie, zapomnienie siebie;
I wolnym odszedł krokiem—nieraz w pośród ciszy
Zatrzymując się nagle — czy kogo nie słyszy?
Spojrzał na xiężyc w pełni—co jego postawę,
W czarnych, olbrzymich kształtach, obalał na trawę —
Jak słodko i spokojnie bieg swój jasny toczy!
Ah! bo na swoje słońce ma zwrócone oczy!
Uchylił rycerz głowę: widzieć mu się marzy,
Jakby szyderski uśmiech w téj pyzatéj twarzy.
I tak dumając smutnie, lub nie myśląc wcale,
W odmęcie sprzecznych uczuć, gdzie trwogi i żale,
Miłość, wspomnienia, szczęście, wszystko w zawieszeniu,
Błąkał się w koło domu śpiącego w milczeniu —
Co cichy, głuchy, martwy, i skarb drogi mieści

Jak te zaklęte zamki Arabskich powieści.
Lecz cóż to? już w zupełnéj nadziei utracie,
Postrzega ruch nareszcie—w sypialnéj komnacie
Widzi otwarte okno, i lekka zasłona,
Co tam nocnym tułaczom na straż rozwieszona,
Z nieśmiałego wietrzyka płochliwie urąga,
Wypycha go z pokoju, i znowu go wciąga.
O! jaki luby ogień zbiegł rycerza żyły,
A wszystkie blaski szczęścia do lic pośpieszyły;
Jak tu szalonym myślom stawić się oporem?
Trzeba być cnót najczystszych, lub kamieni wzorem!
Nie był jednym, ni drugim — umiał walczyć w boju, —
Kochać, — być wiernym, — wdzięcznym; — już Wacław w pokoju.

—

XVI.

Na nierozesłaném łożu, w żałobnéj odzieży,
Rozciągnięta niewiasta uśpiona tam leży;
Ale jéj snu twardego wygoda nie pieści:
I jakby nagłą przerwą gwałtownych boleści,

Jeszcze w jéj sinéj twarzy cierpienie zostało,
Choć spokojne, bez ruchu, wyprężone ciało:
I długie jéj warkocze spadały w nieładzie,
Nie w takim, w jaki miłość śpiące wdzięki kładzie,
I smutnie się nadęła, wysileniem tłusta,
Jakby się skarzyć chciała, tylko że jéj usta
Ścięte silniejszą władzą: a promień xiężyca
Co tę posępną postać migając oświéca,
Tak dziką tkliwość rzucał w przymrużone oczy,
Z jaką mizg upiorzycy, gdy kochanka zoczy.
To młoda śliczna Marja!—Rycerz przed nią stoi—
Przyniósł jéj ziemskie szczęście—i czegoż się boi?
To młoda śliczna Marja? oh! jakże zmieniona!
Czy już się będzie robak tulić do jéj łona?—
Ale nie długo Wacław stał tam w podziwieniu,
Prędko się w nim duch oparł swego ciała drżeniu;
Schyla się na jéj lica, usta do ust łączy,
I słodycz swego serca roskosznie w nie sączy.
„O! moja droga Marjo! ty zimna i niema—
„A dla nas już jest szczęście“ — echo mówi: „niema“
„Marjo, kochana Marjo! w boju mnie widzieli—
„Ojciec mnie z tobą spoi“—echo mówi: „dzieli.“
Znowu ją pieści—cuci—z miłością stroskaną,
Coby się pocieszyła choć westchnień zamianą;

Jéj głowa nagłym rzutem na piersi mu spada,
I w uderzonéj zbroi jękiem odpowiada.
Krzyczał — szukał ratunku — pusty dom prze-
biegał —
Tylko się marny zapęd po ścianach rozlegał!
Wraca — znalazł nadzieję — może czy nie zetrze
Mroku z jéj czarnych oczu otwarte powietrze?
Lecz gdy silne rycerza unosi ją ramię,
W jakież okropne ruchy jéj kibić się łamie!
Nie z tą giętką lotnością, co w dół nie przyciska,
Lecz w całém opuszczeniu świeżego zwaliska,
Zwieszone ręce, głowa, zdrętwiałe już nogi,
Czynią z niéj przedmiot straszny, jemu jeszcze
drogi.
„Oh! wody! wody!“ wołał z przeraźliwym
wrzaskiem,
Ogromne drzwi budynku wywalając z trza-
skiem.

—


Fredro.

XVII.

W szaréj chwastów zarośli lekki ruch się zdaje—
Rozsuwają się liście i czapka wystaje —
I głowa się podnosi—i stanęło ciało,
Co tam w cichém czekaniu ukryte siedziało,
Młodego pacholęcia, co na świat płakało. —
I wzrokiem rozczulonym patrzy się w rycerza,
Co jego zwiędłą młodość podziwieniem zmierza:
Czy strachu czy uroku schowane tam siłą?
Nie wiem—wyszło z gęstwiny i tak przemówiło:
„Niech rycerz drżącém sercem nie pragnie tak wody,
„Bo w niéj zgasnął dopiéro blask ziemskiéj urody:
„To te obrzydłe maski, w swéj zdradnéj zabawie,
„Śliczne łono téj pani zatopiły w stawie:
„A kto raz ludzi porzuci,
„Nigdy już do nich nie wróci.
„Wszyscy domowi—szlachta, panny, giermki, draby,
„Pobiegli w pogoń—drudzy, po xięży i baby;
„I dom teraz w cichości—lecz nim zorza znijdzie,

„Mrucząc — kadząc — śpiewając—służba śmierci
przyjdzie,
„A kto im raz się dostanie,
„Zawsze już u nich zostanie.
„Zawsze — oh! smutne brzmienie, kiedy srogim
losem,
„Ciężkiéj straty i żalu stanie się odgłosem!
„W miłości i przyjaźni, w każdéj życia dobie,
„Tak często powtarzane, a prawdziwe—w grobie;
„Bo kto raz ludzi porzuci,
„Nigdy już do nich nie wróci.“

I podniósłszy na palcach swoją małą postać,
Żeby się rycerzowi do ucha mógł dostać,
Szeptał, szeptał swą powieść—a w twarzy ry-
cerza,
Czarna, czarniéjsza chmura, coraz się rozszerza;
I znów nagle, rozpaczą zaciemnione lica
Zapał gniewu i wzgardy jak piorun oświéca:
Aż w nim powstała wreszcie ta ponurość dzika,
Co patrzy w jeden przedmiot — w trumnę prze-
ciwnika,
Kruszy najświętsze węzły w ogniu swego piekła
Gdy i w najbliższém sercu trucizny dociekła!
Aż w nim powstała wreszcie ta chciwość szalona

Krwi—krzyku—dzwonów—płomień popsutego
łona,
Co domowéj niezgody rozpala pochodnię,
I w własném swojém gnieździe—zbrodnią karze
zbrodnię!
Lecz jeśli takie były najwyższe w nim męki,
Zgon najdroższego szczęścia z błogosławieństw
ręki —
O! jak bezecnéj zemście, co nim słusznie miota
Towarzyszy okropnie rozpacz i zgryzota!
A wszystkie razem bole, w osłupiałém oku
Łączy myśl przeraźliwa—niezmienność wyroku!
Mniéj straszna w swém nieszczęściu, od wężów
jedzona,
Wzór najsroższych męczarni—postać Laokona.

—

XVIII.

I tak Wacław od razu wszystko w świecie traci,
Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi swych braci;
I już nigdy swéj lubéj ze snu nie obudzi,
Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi,

Któréj blask czysty, słodki, anielskim promie-
niem
Fałsz przyjaźni—serc próżność—powłóczył złu-
dzeniem;
I tak Wacław pozostał samotny w pustyni —
Jakże zniknienie Marji ciemną ją uczyni!
Długo on przy jéj zwłokach stał w niemej ża-
łobie,
Jakby kamienia posąg przy kochanki grobie;
Bo zgroza srogiéj złości i widok jéj skutku,
Wygnały nawet z duszy rozczulenie smutku;
Tylko ten gorzki pomysł do żalu go wrócił:
„Ah! czemu ufał ludziom, czemu ją porzucił!"
I gdy w jéj zbrzękłéj twarzy widzieć mu się
zdało,
Co tam w walkach ze śmiercią mimo niéj zmar-
twiało,
Pierwszy—ostatni wyrzut—i to z tym wyrazem,
Że ich szczęście i siebie—zagubił z nią razem;
Wtedy dopiéro serce odzyskało bicie—
Twarz ukrył w obie ręce—i płakał jak dziecię!
Lecz nie długo—już serce zdradzone, pokłute,
Zepsuło się w truciźnie przez jedną minutę;
Już duszy wprzód wyniosłéj, zatknięte to godło,
Co wygnańców swych myśli w sromotę zawiodło.

Czyż ten bujny młodzieniec już ziemi ohyda?
Ah! pytaj raczéj—na co dobroć się tu przyda?
Gdzie co czułe, szlachetne, tylko chwilę świeci—
Gdzie zgon starych rodziców korzyścią ich dzieci—
Gdzie chlubna miłość bliźnich, w udanéj tkliwości,
Cieszy się ich niedolą lub szczęścia zazdrości—
Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda,
Bo w śliczny welon cnoty stroi się obłuda—
Gdzie tylko jedna słodycz, — w wzajemnym zachwycie
Serc wiernych, niezgadnionych, zanurzyć swe życie.

—

XIX.

W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie,
Dla jednych—czas powoli odrętwienie niesie;
Gubią listek po listku, aż w późnéj jesieni,
Jak mszyste, głuche dęby stoją obnażeni.
Drugim—skwarem ich słońca zbite nawałnice,
Rzucą z trzaskiem i grzmotem dzikie tajemnice;
I znów błyśnie pogoda—i czasem się zdaje,

Że weselsza zieloność po burzy powstaje —
Lecz kto się bliżéj wpatrzy, choć pozór jednaki,
Dostrzeże—czarne wewnątrz spalenizny znaki:
A gdy w rażoném drzewie wicher rdzeń rozżarzy,
Któż pożar od piorunu gasić się odważy?
I tak bujna krzewina zniszczenie rozniesie,
W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie.

Co Wacław sobie w życiu może obiecywać,
Trudnoby wytłómaczyć—i straszno zgadywać;
Na jego sercu ciemna, skrwawiona zasłona,
Dosyć—na cóż ją zdzierać z ranionego łona?
Wszystko on już postradał—i chyba to zyska,
Że nie czas, ale płomień, zniszczy w nim zwaliska.
To w krótkiem zamyśleniu korząc się przed Bogiem,
Z swym małym przyjacielem czyli nowym wrogiem,
Umarłe ciało nazad wnieśli do komnaty:
A xiężyc mglistym oczom pożyczył oświaty.
Tam Wacław raz ostatni posłanie jéj mości,
I czułém wyręczeniem bezwładnéj skromności,
Jéj członki, włosy, szaty, w porządek układa,
Bo ciekawa złośliwość i w śmierci ogada.



Wtedy—z tęsknêm wejrzeniem na jéj martwe lica,
W którém żałość rozstania, lecz i obietnica
Prędkiego połączenia—z uwagą rozpaczy,
Co każdy rys nieszczęścia wpamięć sobie znaczy—
W tedy dobywszy miecza co świsnął, a w cięciu
Srogim będzie, i w trupa zostanie ujęciu,
Wyszedł—i zaraz z twarzy wszelkie znikły bole;
Skoczył na koń—a za nim usiadło pacholę.
Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakaném?
Czy duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?
Czy szczérze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
Nie wiem—objął rycerza, i w czwał polecieli.

—

XX.

Na ukraińskiéj cerkwi błyszczą się trzy wieże;
A ukraińskie baby szepcą swe pacierze:
Biją we dzwony żaki, i zysk sobie krzeszą;
Ludzie dobrzy—czy pogrzeb, czy to chrzciny—
śpieszą:
Wewnątrz — kiry, katafalk i trumna—a w rzędy
Blado się palą świéce—czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać,śród ciekawych grona,

Leży długim i martwym krzyżem rozścielona?—
Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala,
I tą cichą pokorą, co się nie użala,
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swéj nieméj pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady—jak łysk od gromnic co mu na twarz
wbiega,
Smutny—jak śpiew umarłych, co się tam rozlega,
Z poziomego zniżenia gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świecą jego oczy.
Ah! to pana Miecznika siwa, nędzna głowa:
Niedawno żonę stracił—teraz córę chowa;
Na to chuśtał kołyskę by w trumnie uśpili,
Na to jéj woził lamę żeby całun szyli.
I dziwno—tak nieczułem zdał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie.
I takim był i potém—ni żalu, ni skargi,
Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi;
Ni łez w hardém spojrzeniu nie było oznaki;
Mniéj z ludźmi, więcéj z Bogiem, a z resztą—
jednaki.
Codzień on w jednéj porze chodził pokryjomu,
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz, i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
I gdy patrząca czujność nadzieję utraca —



Gdy dziko grają trąby—a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy —
Znaleźli go w cmętarzu, przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach, klęczał nachylony:
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość —
Taż sama bladość twarzy, ale oczu żywość —
Czapka, wąsy, dla Polski straszydło na wrogi—
I żupan ten sam czarny—tylko że gdy trwogi
Odgłos z trąby wojennéj dochodził daleki,
Nie porwał się do korda — już spał — spał na wieki!
I cicho—gdzie trzy mogił w posępnéj drużynie,
I pusto—smutno — tęskno—w bujnéj Ukrainie.

PRZYPISY I OBJASNIENIA.

№ 1, wiersz 31.

Minął już kozak bezdnie i głębokie jary.

Na Rusi, ledwo nie w każdéj wiosce znajdują się źródła lub studnie osądzone przez pospólstwo za tak głębokie, że im dna brakuje; ale za to każda z tych otchłani wsławiona jaką nadzwyczajną powieścią, a czasem od Duchów strzeżona.

№ 2, wiersz 155.

Ten uśmiech, w którym może choć część zachwycenia,
Z jakiém wybrani słyszą cherubinów pienia.

Wyraz zachwycenia, który dla tego może tak jest ujmującym w pięknéj twarzy, że jeszcze coś piękniejszego zwiastuje, nie pozwala utrwalić żadnym opisem swego ślicznego zapomnie-

nia się; a tylko pędzel Rafaela, w obrazie Stéj Cecylji, zatrzymać go potrafił w całym uroku, jakiemu się nikt prócz wyobraźni nie wpatrywał. Ś. Cecylja, lubownica muzyki, wystawioną jest w tém malowidle śród narzędzi muzycznych, w chwili, gdy ją dochodzi odgłos Anielskiéj harmonji; i niemasz słów któreby opowiedzieć umiały uczucie, jakiém uderzona jéj postać; zdaje się że jéj dusza rozpierzcha się i żeni z każdym z tych słodkich dźwięków, kiedy wdzięczna skromność hamuje ją zamyśleniem, że nie warta tak niepojętego szczęścia, a śród roskoszy nieznanych jéj sercu wkrada się smutek, że już muzyka ziemska bawić ją przestanie. Największa prostota panuje w całym układzie tego obrazu, twarz nawet Ś. Cecylji mniéj ładna niż twarze niewiast w innych obrazach tego malarza; sama jedynie myśl gieniuszu świeci od wieków w tém szacownném płótnie i nieopisanym wdziękiem do siebie pociąga. Obraz ten znajduje się w Bolonji, i jest policzony przez znawców w rzędzie najsławniejszych Rafaela, a co do swego poetycznego wrażenia, i dla mego widzi mi się, najpiękniejszy jaki wydało malarstwo.

№ 3, wiersz 218,

Podobna do owoców Umarłego Morza.

Wiele pięknych przyrównań czytać można w Angielskich poetach do tych szczególnych owoców, które rosnąć mają nad brzegami jeziora Asphales, znanego pod imieniem Martwego Morza.

„Like to the apples on the Dead Sea's shore,
„All asches to the taste,"
BYRON. Harold's pilgrimage, Canto III.

„Like Dead Sea fruits, that tempt the eye,
„But turn to ashes on the lips."
T. MOORE. Lalla Rookh, I 222.

№ 4, wiersz 231.

A że nad przepych świata i blasków pozory
Widniejsze pióra białe zniżonej pokory;

Wyrażenie to stosownie do ducha religji chrześcijańskiéj, nie jest może niewłaściwém i co do sposobu, pod jakim się przedstawiają oku w znacznej wysokości utwory dumy lub

dowcipu człowieka, sama nawet piękność natury, którą mu dojrzeć pozwolono. W podróży mojéj na szczyt góry Montblanc, gdzie przez dwie godziny pobytu doznałem uczuć, jakich już zapewne w życiu mojém nie doświadczę, w podróży téj straciłem z oczu i z myśli dziedzinę, na któréj panuje człowiek, i tylko z jego siedziby przedmioty białéj farby, a te właśnie których swą władzą odmienić nie zdołał, rozróżnić się dawały: i tak, widoczne były jeziora Genewskie, Neszatel, Morat, Bienne i t. d. jakby rozciągnięte na mroku żagle; kiedy domy, miasta nad ich brzegami stojące, barwy, blaski, ciemną mgłę tworzyły; podobnie rozpoznać było można lodozwały (glaciers), kiedy łąki, lasy, góry nawet znacznéj wyniosłości lecz niższego rzędu, w szary koło nich mieszały się tuman. Nic jednak wspanialszego i dzikszego jak widok z góry Montblanc; ale gdy różny zupełnie od znajomych widoków, inaczéj go sobie wyobrazić niepodobna, jak wystawując się uniesionym przez jakiego dobrego czy złego ducha, w chwili gdy Bóg Chaos utwarzał. Wszystko co dziełem człeka, znika przez swoją małość; tysiące gór olbrzymich z granitowemi szczytami

lub śnieżnemi tarczami, niebo prawie czarnego koloru, słońce przyćmione, blask rażący od śniegu, rzadkie powietrze, a ztąd krótki oddech i szybkie bicie pulsu, nadludzkiém jakiémś czuciem i uczuciem przejmują śmiertelnika: i pewny jestem iż oprócz innych przyczyn, nawet dla niezmiernéj różnicy tego dziwnie górnego widoku a słabości naszych zmysłów, niktby go długo znieść nie potrafił. Niech to wspomnienie nadzwyczajnego zajęcia jakiego doświadczyłem na téj ogromnéj i odosobnionéj górze, nie będzie powodem żadnemu z naszych młodych wędrowników do przedsięwzięcia téj podróży; oprócz wielkiego bardzo trudu i niebezpieczeństw koniecznie do tego zamiaru przywiązanych, jeszcze jego pomyślny skutek od wielu obcych nam okoliczności zależy. Trzy dni pogody bez najmniejszéj chmury i niezbyt rozmiękłe śniegi, prawie potrzebniejszą pomocą niż najcierpliwsza wytrwałość i najmocniejsze piersi; bez tych jednak warunków tylko na zgubę narazić się można, i byłoby najszkodliwszym uporem nie słuchać ostrzeżeń przewodników, którzy wszędzie w Szwajcaryi a szczególniéj w Chamounix pełni są odwagi i rozsądku.

№ 5, wiersz 335.

I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem.

Zdarzyło mi się widzieć szczególną w tym rodzaju pamiątkę. Na szabli tureckiéj, gdzie wzdłuż klingi wypisane były zdania z Alkoranu, znajdował się wyryty przy rękojeści wizerunek N. Panny z napisem polskim gotyckiemi literami. Szabla ta należała do jednego Anglika, który ją we Włoszech nabył; dalekie więc a zapewne nieraz i krwawe odbywała podróże. Szkoda tylko iż w napisie nie było ani roku ani przez kogo zdobyta.

№ 6, wiersz 474.

Suto stoły zastawić, nieszczędzić korzeni.

O guście przodków naszych w korzennych zaprawach, wiele ciekawych opisów czytać można w szacownym i zajmującym zbiorze: Pamiętniki o dawnéj Polsce przez J. U. N.

№ 7, wiersz 833.

A ktoby się miał straszyć tatarskiego tańca.

„Od Tamerlana podane prawidła zachowali Tatarzy i to nazywali nasi dziadowie *tańcem tatarskim*“. Czacki. O litewskich i polskich prawach k. 235 przyp. 111.

№ 8, wiersz 876.

Co śród gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnej poznaki.

„Stepy te wysoką okryte trawą, nie można „jechać przez nią by jéj nie stratować: dla nie-„poznania więc toru i śladów używają Tatarzy „następującego wybiegu. Wnosząc że ich jest „400, dzielą się na cztery części po sto, część „jedna idzie na zachód druga na wschód trze-„cia na południe, czwarta na północ; każda „część uszedłszy półtory mili dzieli się na cztery „części, postępuje daléj i znów się dzieli, tak „że na końcu nie będzie jak po 10 lub 11 w

„hufcu; wszyscy jadą sporym krokiem, kiedy „są postrzeżeni, każdy hufiec ucieka w swą stro„nę; tak trafnie kierując się przez stepy do„chodzą do przeznaczonego miejsca, jak naj„lepszy żeglarz kompasem swoim lepiéj kiero„wać się nie może. Pędzący za nimi kozacy, „trafiając na labirynt potratowanych przez nich „ścieżek, nie wiedzą w którą stronę gonić za „nimi.“ Opisanie Ukrainy polskiéj przez Beauplana, w pamiętnikach o dawnéj Polsce J. U. N. Tom III, karta 373.

№ 9, wiersz 915.

Czy struny natężone tkliwych władz wysnuciem,
Tknięte ręką nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem.

Granice władz naszych umysłowych bez wątpienia ścieśnione są niezmiernie, w stosunku nieskończoności, która nas otacza; ale gdy to czego pojąć nie możemy za niepodobne uznamy, tak trudno i mało pojmując, staniemy się podobni do tego sceptyka z komedji, który dla

tego tylko wierzył że żyje, że się mógł w każdéj chwili pomacać. Nie będę ja tu rozpowiadał na obronę tych dwóch wierszy, jak to być może ażeby ludzie przewidywali czasem przyszłe i odległe zdarzenia, lub czy sprawdzenie zwłaszcza szkodliwego nam przeczucia, właśnie od ufności w nie pochodzi; nie będę przywodził znajomych przykładów z dawnéj i nowożytnéj historji: wspomnę o szczególnym i bliskim nas wypadku, który się wiąże z nieodżałowaną dla kraju stratą. Sławny Tadeusz Czacki, niepospolity licznym zbiorem swoich wiadomości, rzadszy jeszcze zupełném zapomnieniem siebie dla publicznego dobra, który w tylu sercach istnieje hołdem najczystszéj wdzięczności, oświadczał nieraz swoim przyjaciołom, iż ważniejszych okoliczności swego życia zawsze się wprzód przeczuciem dowiadywał; śmierć nawet jego poprzedzona była niepojętém ostrzeżeniem. Na kilka dni przed swoją krótką chorobą i zgonem, upewnił domowników, iż będąc w swoich pokojach, zdawało mu się, że widział umierającego swego przyjaciela i krewnego Generała Karwickiego, który go wołał do siebie; jakoż dziwnie i okropnie sprawdziły się te słowa,

gdy w kilka dni przyszła wiadomość o śmierci Generała Karwickiego mieszkającego o mil kilkadziesiąt, a wkrótce i Czacki poszedł się połączyć z wzywającym go przyjacielem. Lecz jakże wierzyć w podobne powieści i niesprowadzić uśmiechu na twarz oziębłą rozwagi? Fizyków i metafizyków o pozwolenie prosić wypada; do których powiedziećby można z Shakspearem: „There are more things in heaven and earth, than are dreamt of in our philosophy.“ — Są rzeczy na ziemi i w Niebie, o których nam się ani marzy w naszéj filozofji.

№ 10, wiersz 988.

Bór w lewo—strumień w prawo—a oni w półkole.

„Tatarzy radzi się potykają w polu równém, „półki swe w około zgromadziwszy szykiem za„krzywionym, który pospolicie ludzie rycerscy „marsowym tańcem zowią, a na pierwszém po„tkaniu tak gęsto strzały puszczają, jako naj-

„gęstszy grad.“ Kronika Gwagnina, tłómaczenie Paszkowskiego, karta 593.

„Tatarowie zaś zwykłym tańcem, a na kształt „półmiesiąca zakrzywionym szykiem, różnie się „rozstrzelili.“ Kronika Marcina Stryjkowskiego, karta 345.

№ 11, wiersz 1054.

Czemuż choć jednej strzały nie mieli w kołczanie,
Co by jadem jaszczurki utkwiła się w ranie.

„Tatarży strzały swe jadem jaszczurczym na„puszczają.“ Paszkowski, Dzieje tureckie, karta 15; Patrz Słownik Lindego pod wyrazem jaszczurka. Nieznalazłszy bowiem téj xiążki w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego, nie byłem w sposobności sprawdzenia tego wypisu.

№ 12, wiersz 1318.

Wszyscy domowi: szlachta, panny, giermki, draby.

Drab, żołnierz pieszy; p. Słownik Lindego.

№ 13, wiersz 1351.

Mniéj straszna w swém nieszczęściu, od wę-
żów jedzona,
Wzór najsroższych męczarni: postać Lao-
kona.

Powszechnie wiadoma historja, a wielu z moich rodaków widziało sławny posąg, do którego stosuje się to przyrównanie.